Rok II. Kraków, dnia 5 Czerwca 1883 r. Nr. 11.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik **K. Bartoszewicz.**
Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Blaschke.**
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

W sprawie pomnika Mickiewicza.

A więc pomnik Mickiewicza stać będzie na nieistniejącym placu obok nieistniejącego uniwersytetu. Tak przynajmniej chce pięciu czy sześciu mężów krakowskich, co daje pismom warszawskim podstawę do twierdzenia, że «projekt ten cieszy się w Krakowie popularnością.»

Trudno zaprzeczać, że projekt się «cieszy» a z nim «cieszy się» jego projektodawca; co więcej jest on tak «pocieszny,« iż nie dziwimy się «popularności,» jaką zdobył sobie... w pismach humorystycznych. Popularność tę niniejszem potwierdzamy i chętnie nie wkraczalibyśmy w dziedzinę naszego kronikarza, obdarzonego przez nas monopolem co do traktowania wszelkich spraw humorystycznych, gdyby nie obawa, że zręczna reklama dla «cieszącego się» projektu, pisana w Krakowie a drukowana w Warszawie, może obałamucić niejednego i znów odwlec na lat kilka wzniesienie pomnika Mickiewiczowi.

Słyszeliśmy, że na posiedzeniu Komitetu przemawiali za owym projektem znakomici bibliografowie i fizjologowie, przeciw zaś professorowie historji sztuki i szkoły sztuk pięknych. Nie znamy treści ich przemówień, ale sam fakt kto był za a kto przeciw, powinien już rozstrzygnąć wszelką wątpliwość co do estetycznej wartości projektu. Na tle gotyków pomnik renesansowy i na tle zieleni pomnik z bronzu to dla każdego posiadającego uczucie piękna wydawać się już musi..... nieco naiwnem.

Aleź gdyby przeciw projektowi tylko to walczyło! Zanim się przypatrzymy bliżej projektowanemu miejscu, zapytajmy się jakie znaczenie społeczeństwo nasze przypisuje pomnikowi Adama? Czy to ma być tylko pomnik dla poety postawiony byle gdzie jako oddanie hołdu mistrzowi pióra, czy też ma być to pomnik nietylko dla poety ale dla najwybitniejszego reprezentanta idei narodowej po r. 1831. Okoliczności nie pozwoliły nam mieć w ostatniej epoce wielkich wodzów i mężów stanu, ztąd poetom przypadło w udziale nieść sztandar narodowy, zagrzewać do wytrwałości, do walki duchowej, uczyć całe pokolenia miłości ojczyzny. Adam stał na ich czele, ztąd większa mu cześć i sława, tem większe znaczenie nie w dziejach literatury tylko, ale w dziejach narodu. Postawienie mu pomnika to obowiązek i czyn patrjotyczny, to zamanifestowanie łączności narodowej. Taki miał cel jubileusz Kraszewskiego, takie znaczenie przypisują Czesi do wzniesienia teatru narodowego w Pradze. Że społeczeństwo nasze to rozumie, dowodem jest zainteresowanie się ogólne pomnikiem jako sprawą narodową. W komitecie zasiadają przedstawiciele wszystkich dzielnic, każdy fakt tyczący się pomnika wywołuje ścieranie się opinji, o przebiegu każdego posiedzenia telegramy zawiadamiają Poznań, Lwów i Warszawę. Na pomnik Mickiewiczowi w *Krakowie* składa się cały naród, bo Kraków

KRONIKA.

Tak więc nie zostałem wybrany posłem do sejmu. Ile na tem straci kraj, a względnie nasza obszerniejsza ojczyzna, trudno na razie osądzić, skutki dopiero okażą czem jest sejm bez kronikarza, mogącego uwiecznić jego działalność. Pocieszam się tylko tem, że los mój podzielają pp. Bobrzyński, Zucker, E. Wolański. Dr. Jordan, Kazimierz Skrzyński, Z. Kozłowski i wielu innych mniej lub więcej znakomitych mężów. Posiadam przytem jedną niezaprzeczoną nad nimi wyższość: nie zostałem wybrany, równie jak oni, ale też nie kandydowałem i śmiało mogę powiedzieć: gdybym był kandydował toby mnie wybrano,—czego znowu oni powiedzieć nie mogą.

Była chwila, w ktorej o mało nie uległem pressji moich przyjaciół politycznych (p. P. Popiela i M. Sokołowskiego) i o mało nie wystąpiłem z moją kandydaturą w kurji większych posiadłości. Przygotowałem już w tym celu mówkę, metrykę dowodzącą żem się dobrze urodził i zaświadczenie c. k. prokuratorji, że nigdy nie byłem konfiskowany, jakim dowodem lojalności nawet «Czas» poszczycić się nie może. Mówka moja miała zaczynać się w ten sens:

«Jaśnie wielmożni i prawie jaśnie wielmożni panowie! Chociaż nie jestem ani starostą, ani hrabią, śmiem prosić was o mandat poselski. Nie ołysiałem wprawdzie w pracy parlamentarnej, ale jeżeli zawsze mnie wybierać zechcecie, a Pan Bóg da długie życie i zdrowie, to ołysieję niezawodnie. Świadectwo c. k. prokuratorji zastąpi moje wyznanie polityczne. Winienem dodać, że staram się o posadę dyurnisty w c. k. starostwie i że jestem stałym czytelnikiem «Czasu.» Jeżelibyście jednak jaśnie wielmożni panowie na tem nie poprzestali, to jeszcze kilka słów dorzucę: starać się będę o wzrost propinacyj, o zaopatrzenie personalu żeńskiego teatru krakowskiego w nowe a cenne na koszt kraju nabytki, rzucę projekt stworzenia baletu narodowego i użyczania pożyczek przez bank krajowy o $^1/_3$ nad wartość dóbr ziemskich, wystaram się o subwencję dla towarzystwa młodych wdów i dla narodowego cyrku. Taki jest mój program, którego ostatecznym wynikiem: silny rząd tj. zyskać zaufanie rządu, nie utrudniać położenia rządowi, popierać rząd, iść z rządem i stać przy rządzie. Pozwolicie jaśnie panowie, że każdy z przytoczonych punktów mojego programu uzasadnię i szczegółowo objaśnię.

«Co się tyczy propinacji to zbyt ona leży wszystkim panom na sercu, abym potrzebował ważność jej podnosić. Pereat mundus — fiat propinacja, panowie. Jestto najwdzięczniejsze źródło dochodów, dochody są źródłem bogactwa, bogactwo źródłem pomyślności kraju. Bez propinacji nie będzie nacji. Sam źródłosłów wskazuje, że nacja jest częścią propinacji. L'homme propose et Dieu dispose — człek propinacjuje, bo tak Bog dysponuje.

«Punktem drugim mojego programu jest

to panteon wielkości narodowej, bo pomnik dla poety możnaby wznieść gdziekolwiekbądź, ale pomnik przedstawiciela idei narodowej w obecnych okolicznościach może stać jedynie w Krakowie.

Takie znaczenie przypisując wzniesieniu pomnika dla Adama, rzecz prosta, że musimy domagać się, aby miejsce przeznaczone na postawienie pomnika było pierwszorzędnem, aby plac był pięknym, symetrycznym, znajdował się w środku miasta, nie na ustroni. Pomnika Mickiewicza nikt nie powinien szukać w Krakowie, on sam każdemu przejeżdżającemu winien wpaść w oczy. W obec tego czemże byłby nieistniejący a projektowany plac między biblioteką a uniwersytetem, leżący zdala od środka miasta, w najmniej ludnej jego części, na ustroniu, o kilkaset kroków od rogatki wolskiej, obok najmniej uczęszczanej części plantacyj? O symetryczności tego placu niema co i mówić: ani to kwadrat, ani prostokąt, figura niemająca nazwy. Mickiewicz stałby na tle tylnej części biblioteki i jednego z najniekształtniejszych gmachów, istnej latarni, nazywającej się Collegium minus. Plac chce projektodawca utworzyć z ulicy Gołębiej oraz z ogródka i podwórza przytykającego do Collegium minus i biblioteki. Ogródek ten jest wzniesiony nad ulicę 1½ metra, trzebaby więc go zniżyć i zrównać, coby dało się uskutecznić jedynie przez odsłonięcie fundamentów biblioteki. O ileby to ładnie wyglądało, i o ile byłoby możebnem osądzą czytelnicy. Cały wreszcie projekt odstąpienia przez rząd ogródka, a nawet zrzucenia Collegium minus jest pobożnem życzeniem, w którego urzeczywistnienie zapewne i popierający projekt nie wierzą. Rząd dla pomnika Mickiewicza nie będzie zrzekał się własności dość obszernego gruntu i nie zniesie gmachu, który mu może być użytecznym, lub który zamieni na czynszową kamienicę. Wszelkie wreszcie projekty, w których *jeżeli* gra zbyt wybitną rolę są niedojrzałe. *Jeżeli* rząd daruje grunt, *jeżeli* rząd zrzuci Collegium minus, *jeżeli* rząd rozszerzy bibliotekę — to plac foremny utworzyć będzie można. Na to zgoda, ale dodajmy jeszcze jedno, *jeżeli*: tj. jeżeli rząd każe znieść ową wystającą przystawkę do gimnazjum św. Anny, której użytek powinien być dobrze znany zwolennikom projektu, a której znieść według zdania kompetentnych rząd choćby chciał nie może, bo zastąpić jej nie jest w stanie.

Tak jak jest dziś, pomnik stałby na brzydkim i nieforemnym placu, na tle również brzydkiego i nieforemnego budynku. zdala od miasta, ściśnięty gotykami i otoczony zielenią.....

Warszawę złapano na frazes. Brzmiał on tak: «młodzież będzie miała wieszcza przed oczyma, Mickiewicz będzie patrzył na kopiec Kościuszki, Kościuszko zaś na pomnik Mickiewicza.» Ta młodzież i ten Mickiewicz patrzący na Kościuszkę, zachwycił Warszawę. Otóż jeżeli stawia się pomnik przed budynkiem uniwersyteckim to dla Kopernika, Długosza, Śniadeckiego, ale nie dla poety, a kto zna położenie projektowanego placu wie dobrze, że Mickiewicz patrzałby nie na Kościuszkę lecz na stojącą naprzeciw rajtszulę wojska austrjackiego. Mickiewicz nie był nauczycielem tylko młodzieży uniwer., ale całego narodu, nie między gmachami uniwersyteckiemi jego miejsce, ale na placu publicznym. Co by powiedział projektodawca, gdyby po jego śmierci pomnik mu wzniesiono przed arsenałem lub bóżnicą żydowską?....

Z tego wszystkiego wynika, że gdyby rząd chciał poświęcić kilkadziesiąt tysięcy reńskich tj. odstąpić plac miastu za darmo i zrzucić Collegium minus, gdyby rząd zechciał przenieść gdzieindziej gimnazjum św. Anny i znieść *loca* występujące na ogródek uniwersytecki, gdyby było estetycznem i możebnem podkopać bibliotekę i fundamenta jej na widok publiczny wystawić, gdyby rząd dalej poświęcił znowu kilkadziesiąt tysięcy na zburzenie rajtszuli, gdyby miasto oddało ulicę Gołębią, gdyby tyły biblioteki (front jest od ulicy św. Anny) i boczny front uniwersytetu były odpowiednie na tło dla pomnika, gdyby najodludniejszą część miasta uczynić punktem środkowym a nie oddalonym, gdyby estetycy mogli się zgodzić na pomnik renesansowy między gotykami i pomnik bronzowy na tle zieleni — to..... to byłoby to dobre miejsce na pomnik dla męża nauki, Kopernika, Długosza, jak powiedzieliśmy, ale jeszcze nigdy na pomnik Mickiewicza.

Że projektodawca, jako taki «cieszy się» swoim pomysłem temu się nie dziwimy. Nie dziwimy się również znakomitemu bibliografowi p. Estreicherowi, że chce mieć pomnik przy bibliotece, bo wiemy, że p. prezydent przychylał się do umieszczenia pomnika na placu przed magistratem, bo wiemy, że p. dyrektor Towarzystwa Ubezpieczeń chciał widzieć pomnik wystawionym na plantacjach przed gmachem tegoż Towarzystwa, bo wiemy, że architekt mający budować nowy teatr pragnąłby widzieć Mickiewicza przed teatrem, że radzca z Małego Rynku silnie za Małym Rynkiem obstaje, a paru professorów ze Szkoły Sztuk Pięknych domagają się, aby Mickiewicz ozdabiał plac rozciągający się przed tą Szkołą. Nie dziwimy się i Warszawie, która nie mając wyobrażenia o projektowanym miejscu, złapała się na «Mickiewicza patrzącego na Kościuszkę.» Ale dziwilibyśmy się i to

---

powiększenie ilościowe i jakościowe personalu żeńskiego w teatrze krakowskim. Czem jest teatr mówili już inni mędrcy przedemną, ale czem jest teatr bez ładnych kobiet mówić i pisać nie trzeba, bo czujemy to wszyscy. Nie przeczę, że na scenie krakowskiej pojawiają się ładne buziaczki, ale ilość ich nie zadawalnia najskromniejszych wymagań. Dyrektor Staś zbyt się poświęca, abyśmy od niego wymagali systematycznej hodowli pięknych okazów aniołów ziemi. Kilkanaście tysięcy guldenów, jakie są skromnem wynagrodzeniem za jego pracę i starania, nie dozwalają mu na zaprowadzenie umiejętnej pepiniery. Obowiązkiem kraju wesprzeć jego trudy i dać scenie krakowskiej tyle pięknych buziaków, ile tajemnych westchnień wydobywa się do nich z naszego łona. Naród nasz przejrzał dziś estetycznie, wymaga wrażeń w tym kierunku. Niczem się nie kształci tak umysł estetyczny jak widokiem pięknych kobiet. One wreszcie spojrzeniem swojem rozniecają ogień w żyłach, zachęcają do bohaterskich czynów. Biada temu narodowi, gdzie kobieta piękna jest rzadkością, gdzie zamiast greckiego noska spotykamy kawał ciała przypominający kartofel lub berę zimową, gdzie pełne i wilgotne ust korale zastępuje blado-różowy pasek, gdzie płaska deska hańbi miejsce, na którem spoczywać winno czarujące i śnieżne łono! Panowie! sztuka nasza, serca nasze, przyszłość nasza domaga się nieustających ulepszeń w tym kierunku. Mam nadzieję, że oprócz uzyskania w tym celu funduszów krajowych, wysoki rząd wesprze stałą subwencją nasze usiłowania.»

W tym duchu miałem rozwijać dalej swój program, ale mi zwrócono uwagę, że jest za zbyt reakcyjnym, że za wyraźnie przyznaję się do tych, co przy «poszarpanym sztandarze» zostali. Nie miałem już czasu na ułożenie nowej mówki, wolałem więc zrezygnować z kandydatury i żadne namowy moich przyjaciół politycznych nie były w stanie cofnąć mojego postanowienia.

Zresztą może i lepiej zrobiłem. Wybór p. Romanowicza daje wiele do myślenia; niebezpieczne żywioły w sejmie mogą zakłócić spokojność Europy. Chęć wysłania do sejmu Dra Jordana najwyraźniej wskazuje na jakiś trudny a przygotowujący się poród. Strach musi być wielki, kiedy aż 14stu starostów do obrony zagrożonych interesów społeczeństwa zawezwano. W Tarnowie wybrano prezesa sądu, widocznie coś sądzić będzie potrzeba, a dano mu tylu adjunktów i adwokatów do pomocy, że aż ciarki przechodzą na widok tego zastępu. Jednem słowem stoimy na wulkanie i jeżeli nas Gazeta Krakowska nie wyratuje, to propau kozak z dudami.....

Nie należy być jednak pessymistą. Obliczyłem dokładnie, że w skład nowego sejmu weszło 34 książąt, hrabiów i baronów i 42ch prawie hrabiów. Dodawszy do tego starostów i urzędników, zastęp ten konserwatywny z górą stu mężów wyniesie. Niema więc tak dalece czego się obawiać, choć w każdym razie ten Romanowicz i ten dr. Jordan z głowy mi wyjść nie mogą. Wo-

bardzo, gdyby w komitecie mickiewiczowskim ktokolwiekbądź mający jakie takie wyobrażenie o estetyce i znaczeniu pomnika dla Adama, dał głos swój za projektem tak niefortunnym, tak dziwnie śmiesznym, tak gwałcącym myśl ogółu i wszelkie pojęcia estetyczne, a co więcej odwlekającym postawienie pomnika na całe lata.

Tyle mieliśmy do powiedzenia o «pociesznym,» niemożebnym do przeprowadzenia i wołającym o pomstę do nieba zdrowego sensu i estetyki projekcie.....

SPRAWOZDANIE POSELSKIE.

(La ventru au compte vendu de la session parlamentaire).

Zaszczycony waszem zaufaniem,
Opatrzony zatem
I mandatem,
Staję dziś przed wami z sprawozdaniem,
Co też praca posła
Wam przyniosła...
Posłuchajcie tedy mię, panowie,
Każdy z was o wszystkiem wnet dowie:
Naprzód: żyłem dobrze z ministrami,
Niosłem im usługi,
Jak i drugi,
Bo wszelkiemi wspierać rząd siłami —
Jest dziś naszem hasłem
Niewygasłem...
A że to jest polityka mądra,
Widać to już z tego rzeczy jądra,
Że wasz poseł staje taki gładki
Przed zacnych wyborców swoich gronem...
Że zajadał smaczne tam obiadki
I skrapiał je winkiem ulubionem...
Aż mu jeszcze do ust bieży ślinka,
Gdy to jadło wspomni i te winka!

Były to obiady polityczne:
Od czegoż ministra
Głowa bystra?
Mięliśmy wskazówki na nich liczne
O tem, jakie prądy
Żywią rządy,
W czem minister pragnie być popartym,
I kto dlań jest dzisiaj więcej wartym?
Patrzę, kto jest bliżej przy ministrze:
Przywódca prawicy,
Czy lewicy?
I wnet kombinuję sobie bystrze,
Czego się mam imać
I z kim trzymać...
Przy trufelkach wiem już o co chodzi,
Przy deserze — na co rząd się godzi,
A przy kawie — program jasny, gładki,
Już jest gotów stać się jutro czynem!..
Aleź — jakie były to obiadki!
Jak wybornem je skrapiano winem!..
Aż mi teraz bieży do ust ślinka,
Gdy to jadło wspomnę i te winka!..

Pewno wam nie tajnym jest, panowie,
Bardzo dobry zwyczaj
I obyczaj,
Który, dbali o rząd ministrowie
Zachowują święcie
W parlamencie,
Aby nieroztropnych posłów mowy,
Ktoś zagłuszać zawsze był gotowy...
Otóż mię spotkało to zaszczytne
Rządu zaufanie, —
Bo ja, panie,
Skoro tylko zechcę, — zaraz wytnę
Mówkę taką długą,
Jednę, drugą, —
Że aż wprawię wszystkich w osłupienie —
I już milczą całe posiedzenie!..
O! moją wymowę, styl mój gładki
Ministrowie zawsze bardzo lubią!..
To też często zjadam ich obiadki
Piję wino, którem tak się chlubią...
Słusznie, bo aż do ust bieży ślinka
Jakie u nich jadło, jakie winka!..

Lecz nie myślcie, żem wciąż działał biernie,
Bo i działać czynnie
Umiem słynnie!..
Idąc zawsze z rządem, krok w krok wiernie,
Brałem na się śmiele
Jego cele...
Mnie więc winien kraj, że dziennikarstwo
Nie tak się już puszcza dziś w paplarstwo,

góle trudno się będzie uspokoić aż do czasu, kiedy prawo wyborcze całkiem zmienione nie zostanie. Najlepiej byłoby ustanowić pięć kuryj: starościńską, excellencyjną, książęcą, hrabską i baronowską. Każda z tych kuryj miałaby prawo wybierać pewną liczbę posłów. Z miast jeden tylko Kraków otrzymałby przywilej wyboru jednego posła. Nie byłoby wówczas walki rusinów z polakami, żaden Bloch nie dostałby się do Kołomyi, Romanowicz musiałby zostać naprzód starostą, a Otton Hausner hrabią, choćby rzymskim. Cisza i spokój zapanowałyby w kraju,a kronikarz musiałby przenieść się do innego landu.

Opozycja zniknęłaby zupełnie z horyzontu. Niktby nie śmiał nawet gniewać się na dyrekcję teatru za obsadę «Starych Kawalerów,» jakiej podobną widziałem raz tylko w życiu w Miechowie w trupie pana Łapcińskiego czy Łapcikiewicza, bo dobrze sobie przypomnieć nie mogę. Pomnik Adamowi wznieślibyśmy na Smoleńsku przed gmachem szkoły wydziałowej, co pozwoliłoby już najmłodszej młodzieży patrzeć na Adama, a Kościuszko także by go widział z przeciwka. Hr. Jan Stadnicki nie potrzebowałby staczać walki z opinją kraju, gdyż na pierwszem posiedzeniu sejmu udzielonoby wszystkim laenderbankowiczom głos wirylny. Nowa Reforma zwinęłaby swój namiot, a wobec tego Gazeta Krakowska nie mając się z kim kłócić przeniosłaby się na stałe do Pesztu. Czas zlałby się z Gazetą Lwowską, a ze wszystkich «Przeglądów» pozostałby jeden tylko: Przegląd lekarski. Sfery wyższe nie potrzebowałyby się obawiać manifestacyj na cześć najczcigodniejszego arcypasterza warszawskiego i wielki ten wygnaniec nie musiałby dla zadosyćuczynienia im kryć się przed wielbiącym go narodem, który wówczas uwielbienie swoje wyrażałby daleko lojalniej i spokojniej.

Na zakończenie odpowiedzieć muszę na dwa zapytania nadesłane mi listownie. Pierwsze brzmi: dlaczego Czas nie może powinszować dyrektorowi Wrotnowskiemu zwycięztwa nad tak «znakomitym mężem» jak Dr. Bobrzyński? Ze wstydem przyznam się, że odpowiedzieć nie jestem w stanie. Naprzód nigdy nikomu zaszczyconemu zaufaniem nie pisze się z tego powodu kondolencji, chyba, że wybór wyszedł z grona takich jednostek, które wstyd przynoszą. Powtóre można wstrzymać się od powinszowania zwycięztwa nad słabym przeciwnikiem, ale zwycięztwa nad «znakomitym» powinszować się godzi. Im znakomitszy przeciwnik, tem większe zwycięztwo. Przypuszczać należy, że Czas zaaferowany wyborami zgubił podręcznik logiki i chodzi teraz po omacku.

Na drugie pytanie: dlaczego liberalna Gazeta Krakowska występowała tak namiętnie przeciw liberalnemu kandydatowi w Tarnowie? odpowiedź jest łatwiejsza. Kandydat ten należy do «Nowej Reformy» a to dla Gazety Krakowskiej jest dostatecznym powodem przemawiać za kontrkandydatem dra Rutowskiego. Gdyby ktoś puścił pogłoskę, że w Kołomyi mają kandydować Dr. Asnyk i Apuchtin, Gaz. Krak. oświadczyłaby, że jedynym narodowym kandydatem jest Apuchtin, prześladowany za to, że pod maską moskalofilstwa pracuje nad odrodzeniem Polski. Oby szczęśliwymi znalazcami zgubionego przez Czas podręcznika logiki byli nasi liberali!

K. B.

Choć miewałem także często mowy
Za wolnością druku
Pełne huku,
Bo niezawsze plan jest jednakowy:
Trzeba umieć czasem
Śpiewać basem,
Chociaż pan minister drnie tenorem!...
Kto nie umie liczyć się z pozorem, —
O tym nie powiedzą, że człek gładki,
Że na polityce dobrze zna się...
Tego też nie proszą na obiadki
I na dobre wino w każdym czasie, —
A mnie jeszcze do ust bieży ślinka,
Jacy tam kucharze, jakie winka!..

Czynny udział rzadko kiedy brałem
W obradach tajemnych,
Cichych, ciemnych, —
Bo to za zasadę sobie miałem:
Nie plątać się w siecie
Nigdy w świecie,
Ale za to — piąć się choć na mury,
Kiedy taki rozkaz ztamtąd, z góry!..
U tronu ten poseł dobrze stoi,
Którzy wolą króla
Się rozczula:
Dbałem tedy, o wyborcy moi,
By waszego posła
Godność rosła,
A tym tylko szczęście wciąż się śmieje,
Którzy śledzą pilnie, zkąd wiatr wieje
Ten tylko jest poseł sprytny, gładki,
Który wolę rządu w lot przeczuje,
Tego tylko proszą na obiadki
I ten dobrem winkiem się lubuje...
A wierzajcie, że aż bieży ślinka,
Co to za obiadki, jakie winka!..

Przy rozprawach walnych nad budżetem
Byłem bardziej czynny,
Niż kto inny,
Bo mi dano hasło pod sekretem:
Utrzymać pozycyą
Na policyą...
Więc krzyczałem wciąż z całego gardła,
Że ojczyzny sława by zamarła
I upadła wielkość naszej Francji,
Gdybyśmy zmniejszyli
W takiej chwili
Płacę, którą biorą policyanci,
Zwłaszcza ich kolegi,
Tajne szpiegi,
Którzy wysznurkują wnet miłośnie
Nawet szmer, gdy w lesie trawa rośnie!..
I przeprowadziłem w sposób gładki
Zatwierdzenie tej pozycji całej!..
Za to mię proszono na obiadki,
Na których się strugi wina lały —
I aż dzisiaj jeszcze bieży ślinka
Co tam jadłem, jakie piłem winka!..

Prawda, że wam mówią ciągle: „płaćcie,
„Płaćcie to podatek,
„To dodatek...“
Ale też panowie zważyć raczcie,
Że rząd bez pieniędzy
Byłby w nędzy,
Że mocarstwo wtedy jest potężne,
Kiedy wielkie źródła ma pieniężne,
Wszak ministrów tylu, dyplomacji,
Wojsku również trzeba
Co dzień chleba...
No, — a człek prywatny bez kolacji
Kiedy się obchodzi —
Nic nie szkodzi!..

Gorzej, kiedy dwór oszczędzać będzie,
Lub jeźli minister zawsze, wszędzie
Chęci swych nie spełni w sposób gładki:
Któżby wówczas — zważcie tylko sami —
Prosił waszych posłów na obiadki
I na winko, które ich tak mami?
Och! panowie! Jeszcze bieży ślinka,
Co to za obiadki, jakie winka...

Z Bererangera, **L. Kozłowski**

RODZINA BARDY.

NOWELLA

Maurycego Jokaja tłom. z oryginału L. Majewski.

Ciąg dalszy.

— Marzenie. Lud ten nie pojmuje was i to nie może być inaczej. Nie śniło mu się nigdy o tem, czem wy go chcecie obdarować. Po wytrwałości dobrobyt jest tem, czego ludowi potrzeba. Zapytaj pierwszego z moich poddanych, czy między nimi jest choć jeden, któregobym zostawił o głodzie lub dał zmarnieć jego familji, któremubym nie dopomagał w potrzebie, lub był niesprawiedliwym? Nie usłyszysz ani jednej skargi. Wtedy powiedz, że nieprawnie z nim postępuję, bo go nie wzywam od pługa i nie pytam o zdanie w sprawach ustawodawstwa, konstytucji i administracji. Będzie się patrzeć na ciebie ze zdziwieniem, ale być może, że jednej nocy napadnie mię ze złością i zapali mi dach nad głową.

— Przewrotność naszego wieku jest tego przyczyną. Że lud nie przychodzi do pojęcia wyższych myśli to temu i błędy zeszłych wieków winny. Niech tylko lud będzie wolnym, niech się się stanie człowiekiem jak inny, wtedy zrozumie te myśli, których dziś pojąć nie może.

— Lecz ta wolność pozbawi sto tysięczy ludzi życia.

— Nie przeczę. Jestem nawet przekonanym, że owoców tyle usiłowań nie będę zbierać ani ja, ani nawet mój następca, wiem że z tych, których imię dziś tak głośne, za kilka lat nie będzie żyć ani jeden, a za tymi, którzy zginęli, nie popłynie ani jedna łezka i sława, lecz może hańba i gorzkie przekleństwo spocznie na ich prochach; ale przyjdzie czas, który na fundamentach przez nich założonych, wzniesie ten olbrzymi bydynek i wymierzy sprawiedliwość tym, którzy ofiarowali się szczęściu przyszłych pokoleń.—Pięknie to zginąć dla ojczyzny, ale mordować dla ojczyzny, ale schodząc do grobu z przekleństwem tysięcy umrzeć dla sprawy tych tysięcy i być wzgardzonym, wyklętym, to rzecz olbrzymia, posłannicza.

— Synu, jedyny mój synu! krzyknął ojciec płacząc i złamany padł na piersi młodzieńca szlochając gorzko. Czy widzisz te łzy?

— Widzę ojcze. Pierwszy raz w życiu widzę cię we łzach. Dusza moja ugina się pod ciężarem tych łez. Masz powód do płaczu nademną, bo nie przyniosę twej siwej głowie radości, sławy, a przecież pójdę. Idea silniejsza niż żądza sławy, większa od miłości ojczyzny rozświeca mą duszę, a że ta wiara jest silną, niech to świadczy, że widząc łzy twoje, — odchodzę.

— Idź, jęknął ojciec złamany. Być może że zginiesz i nie zobaczę cię więcej, być może, że powracając, nie zastaniesz rodzinnego domu i nie znajdziesz mogiły, pod którą odpoczywa twój ojciec. Wiedz, żem cię nie przeklinał ani w chwili mojej, ani twojej śmierci. Zostaw mię! Odwrócił się dając znak synowi, aby się oddalił.

W milczeniu wyszedł z komnaty, dozwalając płynąc łzom rzęsiście, płakał kiedy tych łez nikt nie widział, ale kiedy przy pierwszym kroku zabrzękła szabla, na twarz młodzieńca wróciła dawna zimna rezygnacja, a miejsce łez zastąpił wyraz odwagi.

Pobiegł pożegnać się ze swym stryjem Józefem.

Ten siedział w gronie rodziny. Bliźnięta bawiły się u jego nóg na ziemi, on sam bawił się z niemowlęciem, przed którem kryła się matka i które głośnem śmiechem wybuchało, ile razy głowa matki ukazała się poza krzesłem ojca.

Brzęk szabli Emeryka przerwał zabawę rodziny. Bliźnięta pobiegły naprzeciw stryja, podziwiając jego szablę, gdy tymczasem niemowlę zaczęło płakać na widok zbliżającego się młodzieńca w uniformie, którego nie poznało.

— A cicho dziecko, cicho, uspakajała je matka odbierając od ojca dziecko. Stryjcio idzie na wojnę i przyniesie ci złotego konika.

Józef ścisnął rękę młodzieńca i rzekł: «Niech cię Bóg prowadzi»; a potem dodał cicho: «Najdzielniejszym jesteś w całej rodzinie. Dobrze zrobiłeś.»

Potem ucałowano go po kolei i puszczono dalej wśród wesołej wrzawy.

Ztąd udał się do babki. Po drodze spotkał się z drugim stryjem, z tym olbrzymem, który wyściskał go w milczeniu, a potem uciekł nie wyrzekłszy ani jednego słowa, ani jednego nie wydawszy głosu.

Staruszka siedziała w poręczowem krześle na kółkach, nie mogąc chodzić oddawna. Na brzęk szabli zapytała: kto przyszedł?

Mała, jasna dziewczynka, z rumieńcem na twarzy i gwałtownie bijącem sercem odrzekła: Emeryk.

Z jakim zapałem, z jakiem uczuciem wymówiła to imię.

Dziewica uczuła, że ten młodzieniec jest dla niej czemś więcej jak dalekim krewnym i właśnie dlatego, że dalekim, to uczucie, które ją uczy marzyć jest czemś więcej nad miłość braterską.

W pokoju oprócz nich znajdowała się wdowa w żałobie i ten siedzący kaleka ze znękaną twarzą.

— Po co ta szabla, Emeryku? — zapytała drżącym głosem staruszka. Oj zły to świat, zły. Któż zdoła odwrócić od nas, co Pan Bóg wymierzył? Dziś we śnie rozmawiałem znowu z moimi umarłymi. Zdawało mi się jakby przychodzili uzbrojeni i mnie wołali do siebie. Jestem przygotowaną, z pokorą oddaję Bogu ducha mego. Przeszłej nocy dwa razy widziałam wypisany ognistemi cyframi rok 1848. Kto wie co to będzie. Nie dobre to czasy, niedobre. Po co ta szabla, Emeryku? Wojna będzie..... Rozmnożyli się ludzie bardzo, nie mogą się pomieścić...

Emeryk w milczeniu schylił głowę i pocałował rękę staruszki.

— A więc idziesz? Niech cię Bóg prowadzi, a mijając krzyż po drodze nie zapomnij westchnąć do Pana życia i śmierci — rzekła siwa babka i kładąc ręce na głowę wnuka szeptała: «Niech cię błogosławi Wszechmogący».....

— I mój mąż taki był młody, przystojny, kiedym go utraciła — westchnęła kobieta w żałobie, a ściskając młodzieńca — rzekła: «Uważaj na siebie.»

Mały kaleka zachodząc się od płaczu objął kolana brata i błagał wymuszonym głosem, żeby się nie bawił długo, bo on się będzie bał w domu.

Na ostatku przyszła kolej pożegnać się z Jolantą.

Ze spuszczonemi w dół oczyma zbliżyła ona się do młodzieńca, który tak pięknym dzielnym wydawał się jej w uniformie i białą rączką przypięła mu do piersi pięciokolorową kokardę: niebiesko-złotą i czerwono biało-zieloną.

— Rozumiem, rzekł z zapałem młodzieniec przyciskając do serca lubą dziewicę. To są barwy Siedmiogrodu połączone z barwami Węgier.»

Dziewica pozwoliła się uścisnąć, a kiedy się rozwinęły obejmujące ją ramiona rzekła z boleścią:

— Nie zapominaj o mnie.

— Żyć nie będę, kiedy cię zapomnę.

Pocałował dziewczynę w czoło, rzucił krewnym jedno: «Bądźcie zdrowi,» wcisnął czerwone czako na głowę i znikł.

Brzęk szabli sprowadził go po schodach.

W małej izdebce na dole mieszkał stary krewny, zaglądnął do niego na pożegnanie. Poczciwy stary Szymon rzekł dodając mu otuchy: «No, synu, a zabijże tam dużo Turków.»

— «Nie będziemy się bić z Turkami,» odpowiedział z uśmiechem młodzieniec.»

— «No to Francuzów» poprawiał starzec zeszłego stulecia.

W bramie czekał na niego koniuszy z dwoma osiodłanymi końmi.

— «Nie potrzebuję cię. Możesz zostać w domu — rzekł do niego Emeryk. Ujął jednego konia za uzdę, wskoczył na niego, zsunął pod brodę przepaskę od czaka, a dawszy ostrogi rumakowi popędził.

Kiedy dojechał do krzyża, zapomniał wprawdzie o napomnieniu babki, ale mu przyszła na myśl ta mała blondynka. Obejrzał się. W jednem oknie powiewała biała chusteczka.

— «To ty tam jesteś moja pociecho, ty spoglądasz za mną — szepnął młodzieniec i rzucił w powietrze dwa całusy, pędząc na dół stromemi zakrętami.

* * *

Szczególne to były czasy.

Naraz poczęły się wyludniać wioski, poukrywali się ludzie, a nikt nie wiedział gdzie, pozamykano prawie wszystkie domy, wieczorem nie było słychać głosu dzwonów, ani śpiewu wracających z roboty dziewcząt i tylko psy wałęsały się po ulicach zarastających trawą.

Emeryk Bardy nie spotkał ani żywej duszy, pędząc w dolinie ulicą małej wioski. Nie wznosił się dym z kominów i nie błyszczał ogień przez szyby chatek. Któż wie gdzie podziała się ludność!

Już się zaczęło ściemniać. Lekka przeźroczysta mgła rozpostarła się nad doliną. Emeryk chciał przed świtem stanąć w Klausenburgu i jechał dalej nocą.

Około północy ukazał się za górami księżyc, rozlewając srebrzystą swą barwę po żółknących liściach; młodzieniec jechał dalej między górami i skałami.

Cicho było wszędzie, tylko monotonny tentent kopyt końskich odbijał się o skalistą drogę. Młoty hut i kuźni milczały wszędzie.

Emeryk zadumany siedział w siodle, kiedy naraz zatrzymało się w biegu rozumne zwierzę i strzygąc uszyma poczęło się cofać.

— No, no — ozwał się młodzieniec, jeszcze niema tu ognia działowego, a już się boisz.

Koń szedł dalej, ale ciągle bojaźliwie łeb obracał i rżał niespokojnie.

W jednem miejscu droga prowadziła między dwoma skałami, które wydawały się jak dwie rozpęknięte połowy. Przed tą wązką drożyną ciągnie się przepaść, nad którą z licho ociosanych belek rzucono mostek.

Kiedy dojechał jeździec do mostu, koń wspiął się i obrócił znim, nie chcąc pomimo ostróg wstąpić na most, ale stanął przed nim kopiąc ziemię nogami.

Jeździec uniesiony ścisnął przelęknione zwierzę i uderzył mocno po szyi, poczem jednym skokiem przerzucił się rumak przez dwusążniowy most i tam znowu się obróciwszy począł się cofać.

W tej chwili kiedy koń most przeskoczył odezwał się przeraźliwy wrzask z rowu pod mostem, a na to rozległo się ze szczytu skały echo, lub może odpowiedź jaka; z pod mostu ukazało się naraz dziesięć do piętnastu brudnych postaci z wyprostowanemi w ręku kosami.

W tej samej chwili ukazał się tłum zbrojnych w rozpadlinie, przez którą prowadziła droga.

Jeszcze miał czas cofnąć się i przebić przez mniej liczną bandę w tyle, ale wstydził się pierwszą bitwę rozpoczynać odwrotem, a może gardził tą hołotą, lub koniecznie chciał być w Klausenburgu na wyznaczoną godzinę; zamiast więc cofnąć się popędził naprzód, zkąd walił się tłum uzbrojony w kosy i cepy.

«Z drogi!» krzyknął z blizka Emeryk na hołotę, z której dwóch uczepiło się jego konia, a reszta rzuciła się na niego z kosami.

Rozległo się dwa strzały; Emeryk puścił wolno konia wśród kos niezgrabnie wywijanych w powietrzu, zabłysła jego stalowa szabla, sypiąc iskry i rozdzielając rany na wszystkie strony, a upatrzywszy stosowną chwilę, kiedy napastnicy poczęli się przed nim cofać, wyskoczył z tłumu i popędził ku rozpadlinie skały.

Nie spostrzegł, że na szczycie stoją ludzie z ogromnymi kamieniami, którzy go zamordują, skoro tylko bezbronny w przesmyk się dostanie.

Już tylko kilka sążni oddzielało go od rozpadliny, zkąd żywym nie byłby wyszedł, kiedy nagle ze skały skoczył olbrzymi mężczyzna i chwycił tak silnie konia za cugle, że ten stanął dęba.

Na głowie olbrzyma siedział rzymski hełm miedziany, w lewej ręce trzymał dwie stopy długi, szeroki miecz.

Młodzieniec ciął napastnika w głowę, hełm do połowy przecięty upadł na ziemię, a z nim razem złamana szabla, gdy tymczasem na dwóch nogach stojący koń stracił równowagę i rzucił o skałę jeźdźca, który zemdlał w skutek upadku i został na ziemi.

W tej chwili padł strzał ze skały, wymierzony na młodzieńca.

— Kto strzelił? zagrzmiał głos olbrzyma.

Krwiożercza tłuszcza wołoska [1]) z dzikim wrzaskiem rzuciła się na bezbronną ofiarę, która bezwładna leżała w pyle.

Silniej nad ten wrzask śmiertelny grzmiał głos olbrzyma.

— «Kto strzelił na mnie?»

Wołosi jak wryci stanęli około niego.

— «Ja nie na ciebie strzeliłem trybunie, ale na huzara» wyjąkał jeden z nich, którego bystry wzrok olbrzyma przykuł do miejsca.

— Kłamiesz zdrajco, kula twoja uderzyła o mój pancerz i gdyby nie koszula stalowa leżałbym już trupem. — Ciebie nieprzyjaciel podpłacił, abyś mię zabił.

Odpowiedź obwinionemu zamarła na ustach.

— Powiesić go, to zdrajca!

Tłum rzucił się wściekle na obwinionego, a uniósłszy go w powietrze przywiódł do blisko stojącego drzewa; krzyk był dowodem, że się odbywa egzekucja.

Trybun zostawszy sam z młodzieńcem, skoczył na konia, położył zemdlałego przed sobą i nim wróciła krwiożercza tłuszcza popędził nazad tą drogą, którędy przybył młodzieniec.

Jeszcze stało kilku powstańców koło mostu; trybun zakrył młodzieńca płaszczem, żeby nie widzieli co wiezie i pędząc przed nimi krzyknął:

— Chodźcie za mną do Topanfaloa.

Kiedy mu się zdawało, że już ich nikt nie widzi, skręcił nagle w lewo i jechał dalej stromą drożyną wśród gęstwiny.

* *

*

(Ciąg dalszy nastąpi).

GDYBYM BYŁ MAŁYM PTASZYNĄ.

(„Si j'etaits petit oiseau“).

Ja, co podobny płochej dziecinie,
Pożądam wrażeń coraz to innych, —
Jakże zazdroszczę temu ptaszynie
Jego skrzydełek lekkich i zwinnych!..
Ileż to ptaszę zwiedza przestrzeni!..
Wszystko do lotu go wzywa;
I ów wschod słońca, co się rumieni,
I jasność niebios tak żywa...
I białe chmurki, co tak uroczo
Po niebie płyną a płyną...
. . . . . .
Jakżebym latał żywo, ochoczo,
Gdybym był małym ptaszyną!..

Leciałbym z tkliwem śpiewaniem mojem,
Pomiędzy zieleń owego lasu,
Gdzie rolnik z błogim duszy spokojem,
Po zacnej pracy używa wczasu...
Potem bym słodką piosnką rozsmucił
Czoło wiejskiego kapłana,
Co rzucił dom swój, uciechy rzucił,
Dla pracy w winnicy pana,
I trzódkę swoją czyniąc szczęśliwą,
Tam tęsknie patrzy w dal siną...
. . . . . .
O! jemu piosnkę rzuciłbym tkliwą,
Gdybym był małym ptaszyną!..

Potembym leciał moją piosenką
Słodzić tęsknotę młodej kochanki,
Co łzawem okiem w swoje okienko
Pogląda, wzdycha noce i ranki...
Możebym w którejś weselszej zwrotce
Szepnął dziewczęciu do uszka,
Że luby — ukłon szle swej pieszczotce,
Kołace do jej serduszka...
Że i on tęschni, tęschni miłośnie
Za swą kochanką jedyną...
. . . . . .
O! jej bym śpiewał czule, radośnie,
Gdybym był małym ptaszyną!..

Dalej bym leciał tam, kędy sterczy
Więzienie czarne jak grób ponury,
Gdzie jęki ofiar pomsty krwiożerczej
Słychać przez kraty, zamki i mury...

[1]) Po wybuchu powstania węgierskiego w r. 1848. ludność innoplemienna jakoto: Kroaci, Serbowie, Słowacy i Rumuni czyli Wołosi działali wspólnie z wojskami rządowemi przeciwko Węgrom. Partykularne te powstania podsycane ze strony rządu stały pod przewództwem mężów jak np. kroackie pod Jellacicem, słowackie pod Hurbanem proboszczem z górnych Węgier, a Rumuni pod Abrahamem Janku rządowym kancelistą. Ci ostatni wywodząc się od Rzymian osiadłych tu po zwycięźeniu Daków, przybierali w tem powstaniu tytuły rzymskie. Bohater powieści zwie się też „trybunem.“ Dodać jeszcze winienem, że Rumuni w tej walce niesłychanych dopuszczali się okrucieństw; dnia 19 maja 1849 zrabowali i spalili kwitnące miasto górskie Abrudbánya w Siedmiogrodzie, a mieszkańców Węgrów w pień wycięli. (Przyp. tłómacza).

Siadłbym na oknie z piosenką tkliwą:
Możebym biednych pocieszył...
Możeby który przypomniał żywo
Chatę, zkąd niegdyś w świat śpieszył...
Możeby dumką słodką, choć łzawą
Zatęsknił za swą rodziną!..
. . . . . .
Tam smutno śpiewać — och! miałbym prawo,
Choćbym był małym ptaszyną!..

Jeszcze bym leciał dalej... daleko,
Kędy na obcej a dzikiej ziemi
Naszych wygnańców gorzkie łzy cieką...
Tambym piosnkami im znajomemi
Wygłosił braciom tęschnotę kraju,
Wieści o doli już innej,
I... mały listek przyniósł im z gaju,
Lub grudkę ziemi rodzinnej!..
Możebym tchnął w nich wiarę szczęśliwą,
Że dnie niedoli już miną...
. . . .
Och! dla nich snułbym pieśń rzewną, tkliwą,
Gdybym był małym ptaszyną!..

Wreszciebym leciał w owe ustronie,
Kędy się mocarz schronił przed gwarem...
I starałbym się — na jego skronie
Wywołać rozmysł piosnki mej czarem...
Gdybym mu troską zachmurzył czoło,
A w sercu zbudził zgryzotę,
Gdyby on spojrzał w siebie i w koło,
Pożądał ukochać cnotę
I na lud zwrócił oko miłośnie,
Na lud, co w nędzy się zgina—
Jakżebym wdzięcznie i jak radośnie
Zaśpiewał, mały ptaszyna!..

Z Berangera **L. Kozłowski.**

Z WŁOCH.

przez S. M.

Ciąg dalszy.

Zabytki życia prywatnego w Pompei. Lecz jakże mieszkali prywatni, jak żyli, jak urządzeni byli obywatele rzymscy? na to nie owa głowna księga, co się Rzymem nazywa, ale druga, jej suplement, tj. Pompei najdokładniej nam odpowie. W porównaniu ze stolicą, liczącą naówczas około 2 miljonów mieszkańców, było to podrzędne prowincjonalne miasto, 30.000 dusz obejmujące. Nawiedzone w r. 63 po nar. Chr. strasznem trzęsieniem ziemi i ze szczętem zniszczone, jeszcze się nie zdołało odbudować, jak tego niejedna niedokończona budowla dowodzi, gdy w r. 79 po nar. Chr. wskutek ogromnego wybuchu Wezuwiusza popiołem zasypane zostało. Lecz, gdy dla pośpiechu i taniości, lekko, a w górnych piętrach z drzewa było budowane, uległo też zniszczeniu i nie przechowało nam ani jednego gmachu w zupełności i same tylko ruiny przedstawia. Otóż ów niewypowiedziany urok Pompei na tem się zasadza, że wszystko co w niej widzimy jest z jednego wieku, współczesne, do siebie przynależne i że nas odrazu z całem prywatnem życiem Rzymian zapoznaje. Oglądamy tu całe miasto z murami, bramami i ulicami, w których bruku są od wozów wyjeżdżone koleje, z placami, gmachami publicznemi, świątyniami, teatrami, łaźniami, sklepami i prywatnemi domami, wszystko tak jak było, gdy przed ośmnastu wiekami z powierzchni ziemi zniknęło, a objaśniające nas do najdrobniejszych szczegółów o ówczesnych stosunkach, obyczajach i cywilizacji. To zas, że podrzędne miasto dopiero z upadku się podnoszące tyle w sobie skarbów sztuki mieściło, daje nam miarę ówczesnej oświaty i zamożności. Naturalnym biegiem rzeczy odkopane miasto musiało oddać do muzeów nietylko posągi, sprzęty i najpodrzędniejsze przedmioty, ale nawet mozaiki i freski ze ścian i posadzki. I tutaj więc gołe mury w duchu uzupełniać i fantazyą zdobić, a uczuciem szkieletowi ciało i życie dać trzeba. Przez to powstaje harmonja między tutejszemi a rzymskiemi zabytkami. Dla jednych zaś jak dla drugich w muzeach dopiero wyjaśnienia, szczegołów i ozdób szukać należy.

Sztuka chrześcjańska. W naszym bardzo sumarycznym przeglądzie przebiegliśmy czasy od najdawniejszych aż do końca świata starożytnego. Ostatnie budowle starego Rzymu, to jest bazylika i łuk Konstantyna łączą się symbolicznie z chrzcielnicą (babtisterio) przy kościele św. Jana Laterańskiego, która się szczyci religijnem podaniem, jakoby w niej ów cesarz został ochrzczonym. Tak przychodzimy do owego w całej historji najważniejszego, w skutek najbrzemienniejszego faktu ogłoszenia chrześcijaństwa panującą religją imperium rzymskiego. Lecz uczeni przedstawiający nam zmiany i rezultaty tym wypadkiem dziejowym spowodowane, za mało zwracali uwagi na sposób, w jaki orzeczenie owo w życie wprowadzonem zostało, za mało opisali nam modum procedendi i chwile przejściowe. A byłby to przedmiot nietylko dla badacza kościelnej i politycznej historji, ale i dla chcącego poznać historją sztuki nader zajmujący i ważny. Wyjaśniłoby się przez to zkąd się wzięło to ziarnko, z którego zeszło i tak wspaniale się rozrosło drzewo odrębnej, chrześcjańskiej, a od pogańskiej niepodległej sztuki.

Samemu bowiem już początkowi chrześcjańskiej sztuki stały w drodze ogromne przeszkody. Nowa wiara, z mozaizmu pochodząca, głosząca zasadę monoteizmu, a oddająca Bogu część «w duchu i w prawdzie» musiała się brzydzić bałwochwalstwem i tak do niego podobnem wielobóstwem i owym materyalizmem czy naturalizmem, czczącym w bóstwach siły natury, a który był jądrem całej owczesnej egipsko-grecko-rzymskiej cywilizacji klasycznej. Jak judaizm i póżniejszy machometanizm, również i pierwiastkowe chrześćjaństwo nie mogło sprzyjać malarstwu ni rzeźbie. Architektury wprawdzie wszystko i wszędzie potrzebuje, lecz wiara potąd proskrybowana, przez rząd za niebezpieczną dla towarzystwa uznana, do ukrywania się zmuszona, biedna, żadnej własności niemająca, nietylko o oryginalnej i samodzielnej sztuce, ale nawet i o naskromniejszym domu Bożym marzyć nie mogła.

Architektura. Dopiero przez Konstantyna uznane i odtąd publicznie występujące chrześcjaństwo odrazu zapotrzebowało budynków, w których by się zebrania i modły wiernych odbywać mogły. Jakiemiż one miały więc być i zkąd wziąść takowych? Trudno było i tak już zaniepokojoną opinją publiczną drażnić przez konfiskatę świątyń zbudowanych i poświęconych narodowym bogom i przez oddanie tych budowli nowej wierze. Ale właśnie owa nowa wiara nie byłaby ich wcale przyjęła i nie byłaby przystała na to, by tam prawdziwemu służyć Bogowi, gdzie dotąd fałszywych czczono. Wstręt ten dopiero z czasem, zwolna przeminął. Nie można też było użyć amfiteatrów. Nietylko byłyby one niestosownemi, ale krwią chrześcjańską zbroczone te pamiątki dawniejszego upokorzenia były przedmiotem szczególnej nienawiści nowej wiary wyznawców, którzy je też jeszcze długo później, o ile się to dało, z całą gorliwością burzyli. Sądowych i handlowych, małolicznych, a do swych specjalnych celów niezbędnie potrzebnych bazylik, nie można było brać w rachubę. Zresztą, gdy początkowa, najprostsza i najskromniejsza liturgja nie była wymagającą, a miano na myśli obietnicę, że «gdzie się trzech w imię Boże zbierze i Bóg z niemi będzie,» więc początkowo lada dom prywatny na zebrania wystarczał. Znaleźli się wkrótce gorliwi neofici, którzy swe domy na ten cel oddawali. Tak się więc stało, że pierwszymi chrześcjańskimi kościołami były: domy prywatne.

Styl romański. By osądzić, ażali istotnie rozkład prywatnego domu rzymskiego posłużył jako myśl zasadnicza pierwszym kościołom, przypomnijmy sobie co nam pod względem prywatnych mieszkań objawiła Pompei. Widzimy tam, że prócz nader rzadkich wyjątków, spowodowanych niezwykłą zamożnością i wielkiem zamiłowaniem okazałości ze strony właściciela, lub wyjątków powstałych z koniecznego uwzględnienia położenia miejsca, na którym budynek miał stanąć, wszystkie domy miały jednakie zupełnie urządzenie. Z ulicy wchodziło się do domu przez vestibulum, mały, kolumnami ozdobiony przedsionek. Przychodziło się do atrium tj. prostokątnego, murem zamkniętego, a od wewnątrz kolumnadą otoczonego podwórza, mającego impluvium to jest cysternę do zbierania wody przeznaczoną (studnią) na

środku. Strona wejścia przeciwległa, otwarta, prowadziła do tablinum, czyli pokoju do przyjęcia gości przeznaczonego. Ten bywał często kolumnami wzdłuż na trzy części, jakby nawy, przedzielonym, miewał w ścianach framugi do pomieszczenia posągów, a kończył się zwykle półokrągłą absydą. Po za tablinum lub stosownie do miejscowości, obok niego mieścił się drugi podworzec peristilum, również kolumnami otoczony. Środek onego zajmował ogródek viridarium, a do koła otoczonym był małymi sypialnymi pokojami. Z peristilum wchodziło się do jadalnego pokoju triclinium, który się za nim znajdował.

Pomijając już historyczne świadectwa, że odwieczne przybytki w Rzymie, jak św. Pudencyanny, Grzegorza, Klemensa, czterech Koronatów, Cecylji z mieszkalnych domów powstały, porównajmy z powyższym opisem stare romańskie, a nawet i gotyckie kościoły, np. Franciszkanów w Krakowie, San Stefano w Wenecji, św. Agnieszki i Pawła za murami, św. Aleksego w Rzymie, a ujrzymy, że z ulicy wchodzi się najprzód na obszerny, obmurowany dziedziniec zwany atrium lub paradisus, z cysterną na środku zwaną cantharus [1]). Z dziedzińca tego, zamiast przez otwartą kolumnadę, wchodzi się przez troje drzwi obok siebie umieszczonych, do kościoła. Tu zwykle napotykamy trzy nawy, a główną, środkową kończącą się absydą. Obok lub poza kościołem mieści się budynek w kwadrat, krużgankami otoczony, z wirydarzem po środku, a obejmujący do koła mieszkania, cele. W tych w dawniejszych czasach mieszkało duchowieństwo i służba, a tembardziej przy kościele żyjący zakonnicy. Budynek ten Chiostro dał nazwę naszym klasztorom. Po za Chiostro, lub stosownie do miejscowości, w takowem znajdowało się Refectorium.

Katechumeni zbierali się pierwiastkowo w pierwszym podworcu, nie wchodząc do wnętrza kościoła.

Czyż tu tożsamość urządzeń między temi najdawniejszemi przybytkami a domem rzymskim nie jest oczywistą i uderzającą?

Gdy zczasem dla służby bożej umyślne budynki stawiano, dawano im więsze rozmiary, a zwolna dopiero wyrabiał się w nich styl łuku półkolistego, romańskim ochrzczonego, którego dzieła najniesłuszniej nazwę bazylik noszą. Styl ten wraz z chrześcjaństwem rozszedł się po całym świecie, a we Włoszech przechował się w najpiękniejszych okazach. Później naprzeciw kościoła stawiano wieżę, dzwonnicę, campanilla, których, by już o pizańskiej nie mowić, tak wiele pochyło zbudowanych się widzi we Włoszech. Również naprzeciw lub obok kościoła stawiano jako osobne kaplice, babtisterium, chrzcielnicę. Podobne one do rzymskich okrągłych lub wielokątnych świątyń, przejście do nowego stylu stanowią.

O stropach drewnianych, kolumnach z klasycznych budowli do kościołów przeniesionych, o ustaleniu się norm co do gzymsowania, bar, kapitelów, rozet itd. mówić tu nie będę, bo nie historją budownictwa się zajmuję wyłącznie.

Ciąg dalszy nastąpi.

[1]) Kto wie czy podwórze św. Piotra Watykańskiego w Rzymie nie jest jeszcze reminiscencją owego pierwiastkowego urządzenia, gdy wiadomo, że dawniej tam stojący pierwiastkowy kościół właśnie taki rozkład posiadał.

CENZURA.

(„La cenzure“).

Próżno wasze jarzmo twarde,
Co milionów karki gnie,
Giąć chce nasze głowy harde!..
O cenzory, inspektory!..
Łudzą was pozory;
To nie uda się wam, nie!..
Nam, by wyśmiać, co jest śmiesznem,
Wytknąć, co jest złem i grzesznem, —
Niepotrzebne przywileje,
Królewskie pieczęcie;
Patrzcie, jak ja z nich się śmieję,
Smieję się zawzięcie!..

Rząd ma dosyć takich ptaków,
Co się boją światła dnia...
Dla nich to, tych dworaków,
Dla ich tajnych gabinetów
Dla ich giętkich grzbietów
System nocy wiecznie trwa!..
Lecz, by wskazać ich dokoła,
Napiętnować nędzne czoła, —
Niepotrzebne przywileje,
Królewskie pieczęcie;
Patrzcie — wszakże z nich się śmieję
Głośno i zawzięcie!..

Niech przemądre gabinety
Suszą swoich mózgów pleśń,
By wymyślać świetne fety,
Co na chwilę bawią tłumy
I ćmią ich rozumy...
Na te sztuki mamy pieśń!..
Dla wykrycia celów czarnych,
Dla wyśmiania środków marnych
Niepotrzebne przywileje,
Królewskie pieczęcie;
Moja piosnka z nich się śmieje,
Smieje się zawzięcie!..

Niech nam cenzor nie pobłaża;
Nam nie trzeba jego łask...
On ma myśl za kajdaniarza,
Co go strzegą srogie katy,
By nie wyjrzał z kraty,
Nie znał co to dzienny brzask!..
Lecz, by każdej myśli zdrowej
Promień wkradł się w ludzkie głowy, —
Niepotrzebne przywileje,
Królewskie pieczęcie;
I z cenzorów ja się śmieję
Jawnie i zawzięcie!..

Chcą, by lud w ślepoty męce
Szedł, gdzie iść wskazuje rząd
Resztką światła chytre ręce
Wciąż kieruję tędy właśnie,
Gdzie najrychlej zgaśnie,
Gdzie zgnilizny wieje prąd!..
Lecz, by światło ducha wzniecić,
By lud w zgubnem złem oświecić, —
Niepotrzebne przywileje,
Królewskie pieczęcie;
Wolny duch mój z nich się śmieje,
Smieje się zawzięcie!..

Więc choć rządy i cenzury
Tłumią nasz swobodny śpiew, —
Piosnka przedrze się przez mury!..
Na jej głoskach, gdy ministry
Utkwią wzrok swój bystry, —
Zawsze w nich bezsilny gniew!..
Lecz, by zdzierać fałszu maski, —
Na nic nam tych panów łaski,
Niepotrzebne przywileje,
Królewskie pieczęcie;
Piosnka wszystko to wyśmieje
Ostro i zawzięcie!..

Z Beranger'a **L. Kozłowski.**

Zapiski T. Lipińskiego

Ciąg dalszy.

Dzień 30 był dniem większej jeszcze trwogi; pospólstwo odbiwszy magazyn wódki i różne szynki, ledwo na nogach ostać się mogło, równie i większa część żołnierza była w podobnym stanie. Znużeni i zgłodzeni domagali się o jedzenie, piekarze byli w oblężeniu. Niewielu znalazło się obywateli, którzy bezpłatnie żywnością zasilali. Lękano się też, aby W. Ks. nie uderzył na miasto, coby mógł z łatwością uskutecznić i dawny przywrócić stan rzeczy, tembardziej, iż rząd opieszale i z niepewnością działał. Zrabowano kasę i zrujnowano dom, gdzie mieszkał i miał bióro komisji wojny ross. generał Skrzybicki na Nowym Świecie. Również zrabowano mieszkanie Nowosilcowa, gener. Rychtera i Markowa, lecz rabunek zaczęli ich właśnie ludzie. Zburzono dom fryzjera Makrota, ojca głośnego szpiega, samego na drobne rozsiekano kawałki; na pomieszkaniu zaś przybito tablicę z napisem: taka nagroda szpiegom i zdrajcom. Lękaliśmy się o bank i kasę jlną król. lecz wszędzie porozstawiano mocne straże. Zrabowano kilkanaście sklepów żydowskich na Franciszkańskiej ulicy, nim zapobieżono dalszym rabunkom. Po południu ogłoszono prezydentem Węgrzeckiego, posiadającego miłość i zaufanie mieszkańców, był on na tym urzędzie przed kilkunastu laty. Zaczęto tworzyć gwardją obywatelską i mimo wysyłanych patroli przez cały dzień i noc włóczył się motłoch strzelając po ulicach. Każdego zmuszano chodzić przy broni; żydostwo nosiło po dwa karabiny i inną broń, bez żadnego prześladowania lub naigrawania się z nich. Szasery gwardji stali od końca Nowego Świata ku aleom, chwytali każdego kto się im nawinął i odprowadzali za rogatki szkalując i okładając płazami. Oburzenie na nich ludu jest wielkie, pozostałych przy koszarach szaserów chciano zabijać, jako zdrajców, z trudnością niewinnych obronić zdołano.

Cudownie się ta rewolucja odbyła, mało co poległo z naszych, nierównie zaś więcej z przeciwnej strony żołnierstwa. Podziwienia jest godnem, iż waleczni podchorążowie, którzy takie niebezpieczeństwo przebyli, przerzynając się przez 3 pułki jazdy ross., mają tylko sześciu rannych, a żaden z nich nie zginął.

Grudzień. Dnia 1 objął dowództwo nad wojskiem były gener. Chłopicki, na ustroniu żyjący. Powołał go głos publiczny i jednomyślne życzenie. Zaczęto z W. Ks. wchodzić w układy, lubo większość zdań była, aby uderzyć na stojących za Mokotowem Rossjan. Zdaje się, że w takim razie Rossjanie byliby broń złożyli, niedostatek bowiem żywności i zimno im doskwierało, oficerowie po większej części Polacy, tchnący dobrym duchem, a do tego wielu z nich żonatych, wszystkie te okoliczności pomyślny skutek rokowały.

Dzień 2. Coraz do lepszego porządku przychodzimy, urządza się straż bezpieczeństwa, przywraca się ufność, ucichają zgiełgliwe hałasy i bezpotrzebne po ulicach strzelania; wielu ludzi wraca do swoich zatrudnień, otwierać się zaczynają sklepy, chleb i mięso bez trudności jest do nabycia. Chwytani w znacznej liczbie szpiedzy na ratuszu są osadzani. Deputacja z rządu tymczasowego ostatecznie do W. Ks. wyprawiona, umawia się względem warunków.

Dnia 3 W. Ks. w Wierzbnie przesiadujący (przy Królikarni) wydał podziękowanie obu gwardjom naszym za stateczne dotrzymanie jego strony. Wtem grenadjery zaczęli szemrać i okazywać chęć powrotu, zrzucano kitki i przypinano białe kokardy. Gdy gener. Krasiński Winc. zaklinał, aby jeszcze się wstrzymali z powrotem, przystąpił do niego porucznik Aleksander Kożłowski i przypiął mu kokardę. Uwiadomiony W. Ks. o takim duchu pozwolił gwardjom wrócić do miasta. Z wielkiemi okrzykami radości wchodzi z I. pułkiem strzelców pieszych gener. Piotr Szembek z Sochaczewa i pośpiesza, naprzeciw nadciągającym pułkom gwardji. Mnóstwo ludu witało wchodzących grenadjerów, którzy przygrywali pieśni i tańce narodowe, w oknach powiewały białe chustki wołano zewsząd: przebaczamy wam! Z innej strony ciągnęli ponuro szasery i uszykowali się na placu bankowym. Przy odgłosie muzyki obniesiono około szeregów na tyczce przybraną u wstążki czapkę wolności, przeszedłszy kilka ulic, złożono ją u Kapucynów, gdzie gwardjan powszechnie lubiony, miał patrjotyczną przemowę. Wkrótce potem nastała chwila nie do opisania, tłumy publiczności rzuciły się na Wincentego Krasińskiego i Zygmunta Kurnatowskiego dowodcę szaserów. Ściągnięto ich z koni wołając: wieszać, zamordować zdrajców! Wojsko stojąc nieporuszenie, patrzało z obojętnością. Nadciągnąwszy akademicy, lubo sami zagorzalcy zaledwie obronić ich zdołali, wołając: niech się wytłomaczą. Napróżno przemawiał Chłopicki i inni z okien pałacu kom. skarbu, nie ustawała wrzawa, domagano się koniecznie śmierci obu generałów. Nareszcie zdołali akademicy otoczyć ich i wraz z swą chorągwią wprowadzili na ganek. Zgiełk, krzyki tysiączne zemsty nie dozwalały przywrócenia porządku, uproszono nakoniec o spokojność, a akademicy trzymając pałasze nad głową Krasińskiego, zaręczali, iż się poprawi i będzie dobrym Polakiem. Jednomyślnie ozwano się, że jest szelma, wierzyć mu nie można. Uciszono się na chwilę, gdy gener. Szembek prosił, aby dozwolono Krasińskiemu przemówić; począł on wyliczać swoje zasługi, gdy zaś wyrzekł, że na obronie ojczyzny stracił majątek przerwano mu jednogłośnie: łżesz, przepiłeś go. Mówił dalej: «któż utrzymał sławę oręża polskiego jeźli nie ja? Kto z chlubą przyprzyprowadził szczątki walecznych i drogie zwłoki bohatyra, jeźli nie ja. Niech kto stanie więcej okryty ranami odemnie? Czyliżem skrzywdził kogokolwiek na sławie i honorze? Zawsze byłem i jestem dobrym Polakiem.» Tu znowu huknęły tysiączne głosy: «a sąd sejmowy? łajdakiem jesteś, nie wierzymy ci.» Akademicy dyktowali mu rotę przysięgi; trzymając rękę do góry, słowo w słowo ją powtórzył, że przyrzeka poprawę i odtąd będzie jak najlepszym rodakiem. Szkalowano go, wołając ciągle: nie wierzymy. Gdy przyszła kolej na Kurnatowskiego, zaledwie ozwał się drżącym i jękliwym głosem, przerwano mu, okładając najobelżywszemi słowy, że zawsze był podłym itd. Żołnierze nawet dali się słyszeć: nie chcemy z tobą służyć. Oba srodze pognębieni dowódcy całowali się z młodzieżą uniwers., kłaniali się publiczności, która nieustannie tysiączne na nich miotała przekleństwa. Chłopicki oświadczył, że oddala się na narady i prosi o oddalenie się. Zgiełk jednak nie ustawał, aż za przemówieniem Szembeka, (o którym wiedziano z jakim zapałem stanął na czele pułku, powziąwszy pierwszą wieść o powstaniu). Gdy tenże upraszał, aby się oddalono, natychmiast tłumy przy okrzykach: wiwat, poczęły się rozchodzić. Na to wszystko niemy świadek patrzałem z boleścią serca. Obu generałom dano natychmiast dymisje i nie przyjęto ich chęci służenia za prostych żołnierzy.

Dnia 4. Coraz do większego przychodzimy porządku, wezwano rzemieślników, ażeby powrócili do zwykłych zatrudnień, dostawa żywności idzie zwykłym trybem; (harmaty stoją jeszcze po różnych ulicach, wojsko pali ognie na placach i biwakuje nieprzerwanie) coraz mniej widać snujących się po ulicach, sklepy zaczynają już otwierać, lecz jeszcze żaden nie ukazał się powóz na mieście. Od dwóch dni zawiązało się kilka zagorzałych klubów, których zamiarem jest wpływać na opinję publiczną. Jest to niedorzecznością, gdyż zapał jest powszechny i największy tak w stolicy jak po całym kraju. Ci zaś półgłówki, na których czele stoi Maurycy Mochnacki i kilku jego zwolenników, głośno

i bezecnie powstają na rząd tymczasowy, że nie posuwa rewolucji, że opieszale działa itd. Poważają się nawet głosić, że chcą uchylić członkow rządu tymczasowego, a innych postawić na czele. Do tego stopnia są zuchwali, że zmusili przyjąć do składu rządu Mochnackiego i kilku innych młodzików. Lecz szczęściem że większa część jest lepiej i umiarkowaniej myślących; oburzenie na tych wichrzycieli jest powszechne, sami akademicy są przeciw nim. Tego dnia przyszła jedna po drugiej deputacja od klubów do naczelnika siły zbrojnej wyrzucając mu opieszałość i doradzając, aby ścigał i rozbroił W. Ks., aby uderzył na Prusy i na Austrją. Wszystkim musiał się tłomaczyć Chłopicki, odrywając się od najważniejszych zatrudnień; w końcu przybył gen. Jan Krukowiecki, co między nimi zaszło nie wiadomo, dosyć że Chłopicki udał się natychmiast do banku, gdzie rząd odbywa swe czynności i podał się o uwolnienie. Tu nastąpiła czuła i rozdzierająca scena; Niemcewicz padł mu ze łzami do nóg, prosząc, aby ich nie opuszczał, inni członkowie rządu z płaczem go zaklinali. Wszystko napróżno, Chłopicki przy swojem obstając wlókł ku drzwiom trzymającego się u kolan starca. Wśród takiego wzruszenia, apopleksją tknięty naczelnik upadł. Puszczona mu z jednej ręki krew nie szła, z drugiej zaś mało co płynęła. Trwoga niesłychana w mieście, tłumy snują się, pytając o stan drogiego nam zdrowia. W nocy miał się lepiej i zabłysła nadzieja polepszenia. Tymczasem głupie kluby odbywają przy niesłychanych zgiełkach swe posiedzenia, wrą niezgody między samymi członkami, aliści około północy wpadają uczniowie uniwersytetu z oreżem w ręku rozpraszając klubistów i zagorzalca Mochnackiego do aresztu prowadzą, jako główną sprężynę niesnasek i przyczynę choroby naczelnika.

Dnia 5 Chłopicki ma się lepiej, lecz obstaje przy swojem, że do niczego należeć nie chce. Pułk. Wąsowicz, jego szef sztabu zręcznie i ostrożnie nakłaniał go, aby nie opuszczał świętej sprawy naszej, gdyż zginiemy. Doniosł mu o poddaniu się Modlina, zapytał o dalsze rozkazy. «Róbcie co chcecie, odpowiada naczelnik, wszakem się już od wszystkiego odsunął; niemasz zgody, jedności, ani ufności, każdy chce radzić i rządzić.» Nareszcie wydał polecenia, dodając, że po raz ostatni. Po chwili kazał osiodłać najlepszego konia, poczem rzekł: «ale się zaziębię, nie mam jeszcze gotowego kaftanika,» wnet dostarczają mu. Gdy mu dano znać, że Czartoryski i Niemcewicz przybyli, nie chciał się z nimi widzieć, oświadczając, że do niczego już nie należy. Zwolna dał się skłonić do ich przyjęcia, lecz wprzód położył się do łóżka. Ci nader ostrożnie przemawiają, a widząc go sposobniejszego i powolniejszego, wręczają mu nominację na dyktatora nad siłą zbrojną. Porywa się i rzecze: «wszakże nim jestem będąc naczelnikiem siły zbrojnej.» Ubiera się pierwszy raz w mundur i przywdziewa wszystkie ordery, a nawet i św. Anny. Na uczynioną uwagę, aby ją odpiął, odpowiada: nie, ona mi nie zaszkodzi. Udaje się na radę, każe wszystkim się oddalić nienależącym do składu rządu i zapytuje, czy zgadzają się, aby objął dyktaturę w całem znaczeniu. Wszyscy chętnie przystają. Wydaje rozkaz, aby całe wojsko i wszystko co jest pod bronią z gwardji obywatelskiej, zgromadziło się o godzinie 2 na Marsowem. Przybywszy tam, oświadcza, iż w naglących potrzebach przybiera władzę nieograniczoną jako Dyktator, poczem zapytał; czy się na to wszyscy zgadzają? Jednomyślnie nastąpiły okrzyki radości i zgody. Czyni przegląd stojących pod bronią i wraca do przyrządzonego, a raczej do gotowego i nader wykwintnie przybranego mieszkania pułk. ross. Filipensa w domu narożnym Mikulskiego przy Senatorskiej ulicy. Mianuje sekretarzem dyktatury z wielkiemi atrybucjami, dobrze mu znajomego Aleksandra Krysińskiego mecenasa. Lubo młodzieniec ten pełen jest zdatności i ma dobre pióro, uprzedzenie jednak, że pochodzi z przechrztów, sprawiło powszechne szemranie.

Dnia 6 ofiarowano dyktatorowi płacę jaką pobierał namiestnik, odrzucił to z oburzeniem, mówiąc: «myślcie tylko o tem abym miał co jeść i pić, niczego więcej nie żądam.» Sekretarzowi przyznano płacę w stosunku 18,000 złp. rocznie. Dyktaturę ma złożyć w ręce sejmu zwołanego na 18 b. m.

Dzień 7. Niebo sprzyja naszej świętej sprawie. Rzecz niesłychana, aby w tak późnej porze było tak łagodne powietrze, małe trzymają ciągłe przymrozki, niema wiatru i piękna służy pogoda. Uczniów uniw. było na ten rok 900, wielu z nich porozsyłał rząd po województwach dla dodawania ducha, pozostali tworzą liczny pułk dowodzony przez prof. Szyrmę; mają swą muzykę i główne stanowisko na ulicy Leszno, gdzie dzień i noc biwakują przy rozłożonych ogniach. Dziś przyciągnęli na plac uniwers., Prof. Kazimierz Brodziński piękną i czułą do nich miał przemowę; poczem zajęli lokal cenzury na arsenał i swą kancelarją. Sporządzili następnie spis dwóch bataljonów, każdy złożony jest z 4 kompanij po 100 ludzi, a każdą dowodzi podoficer od piechoty. Dyktator na ich prośbę dozwolił, aby jeden oddział trzymał straż w jego mieszkaniu.

Ciągle łapią szpiegów i dostarczają na ratusz, tak dalece, iż już miejsca brakuje na ich umieszczenie. O mil dwie schwytano owego Potrykowskiego, który pobudzając młodzież, donosił o wszystkiem, rozebrano go do koszuli i związanego położono na słomie przed bankiem. Tysiącznych doświadczył udręczeń. Puszczono się w pogoń za Rożnieckim, lecz wątpimy, aby go dostano, postępuje bowiem wśród wojska ross.

Dnia 8 powieszono wizerunek Rożnieckiego przed więzieniem klaszt. Karmel. na Lesznie. Licznie nawiedzają to miejsce, które oprócz Bastylji paryzkiej, nie miało sobie równego. W pierwszej nocy powstania zdobyte zostało nie bez oporu będącej tamże straży. Kapitan Tadeusz Niewodowski od lat kilku przeznaczony do dozorowania zawsze zapełnionych tamże więźniów, wielkie zebrał pieniądze i kupił trzy domy. Rząd przeznaczał na każdego więźnia 5 złp. dziennie na żywność; karmił on ich jak najgorzej i tym niecnym sposobem dorobił się majątku, dzieląc się dochodami z Rożnieckim. Mocno raniony owej pamiętnej nocy, uprosił o darowanie sobie życia.

Wojsko ross. dopuściło się spustoszeń w okolicach Królikarni, gdzie tyle było przyjemych pomieszkań letnich, mimo najsurowszych zakazów W. Ks. Omijam rozbieranie parkanów, stodoł, cegielni dla ogrzania się, ale palono najpiękniejsze sprzęty, w drobne potłuczono kawałki lustra, porcelany, zabytki starożytności, etruski itd. tak starannie nabywane we Włoszech przez panią Wąsowiczową, a umieszczone w Mokotowie.

Niewiadoma jest z dokładnością liczba poległych i rannych; jest ona wszakże niewielka, nie słychać aby który oficer poległ, oprócz Franciszka Piotrowskiego porucznika i kapitana Daniela Tereszteniaka, zabitych od własnych żołnierzy z bataljonu saperów, pierwszy za to, że potrącił opiłego żołnierza, drugi zaś Niemiec ze służby austrjackiej i tak już niecierpiany, schronił się był do mieszkania i nie chciał wystąpić do walki. Przeciwna strona niemałą poniosła stratę przy arsenale i przy koszarach gwardyi artyl., gdzie stał pułk gwardji pieszej wołyńskiej, jakoteż i przy koszarach łazienkowskich. Wielka, stanowcza w dziejach naszych rewolucja, z szybkością błyskawicy wykonana, zemstą zmazaną nie została, nie pastwiono się nad jeńcami, ani nad

mnóstwem pozostałych urzędników i biórowców ross. Powstaliśmy bowiem nie z nienawiści ku Rosji, nle w upomnieniu się o dochowanie zaprzysiężonych nam swobód. Oficerowie i wyżsi urzędnicy wraz z żonami osadzeni są w zamku; życzyć należy, aby kobiety odjechały, gdyż utrzymanie tylu osób wielkie pociąga wydatki.

Uczniowie uniw. wraz z magistrami podzieleni jakem mówił na 8 kompanij, zrana i popołudniu odbywają ćwiczenia wojskowe na dziedzińcu Kazimierowskim. Nauczają ich podoficerowie od piechoty, w chwilach wolnych od kursów akadem., gdyż od kilku dni wszystkie szkoły są otwarte. Uczniowie uniwers. mają sobie przyznany żołd podoficerski; ci zaś co są na służbie i straży przy dyktatorze najlepiej są żywieni.

Dnia 12 wszyscy uczniowie uniwer. znajdowali się z wielką przykładnością na nabożeństwie w kościele Wizytek. Dawniej zaledwo 40 ich bywało. Kanonik Wierzbowski wykładający religję, wstąpił na ambonę i miasto mieć stosowne kazanie do teraźniejszych okoliczności, prawił o miłości własnej. Poczęto kaszlać, chrząkać, nogami szurgać na znak nieukontentowania, tak dalece, iż prałat musiał ustąpić. Ks. Szynkarski, były kapitan, odprawiający mszę, stanął na gradusach w. ołtarza przemówił z energją i w najlepszym duchu. Młodzież w uniesieniu okrzyknęła go swoim kapelanem.

Duchowieństwo, zwłaszcza wyższe, widocznie nie sprzyja teraźniejszym wypadkom. Wielką okazują obojętność, żaden z biskupów ani z kapituły nie znajdował się dotąd u dyktatora. Powszechne na nich jest oburzenie. Nareszcie sekcja duchowna w kom. ośw. wydała podpisaną przez Prażmowskiego biskupa płockiego odezwę do proboszczów oziębłą i dwójznaczną, polecając, aby ją z ambon odczytywano i nakazał 40 godzinne nabożeństwo.

Tyle powstało nowych pism i tyle codziennie okazuje się różnych odezw i wierszy, iż zecerzy nastarczyć i wydołać nie są w stanie. Komisja ośw. najwięcej jest szarpana i szkalowana, a szczególniej jej minister Grabowski. Czuje on dobrze swą winę i dotąd nie śmie wyjść z domu. Zastępcą ministra ośw. mianowany został Joachim Lelewel, który przybrał na zastępców radców stanu dyrektorów wydziałów, brata swego i szwagra Majewskiego. Oświadczył, iż uczynił ten wybór z powodu ufności jaką pokłada i zupełnej pewności w ich zdolności.

Dnia 13 odbył się pogrzeb gener. Stasia Potockiego; w kościele Kapucynów mieli mowy Albert Grzymała były referendarz i pułk. Ignacy Prądzyński, oba głośni więźnie stanu. Oprócz muzyki wojskowej nie było żadnych honorów wojskowych.

Z powodu nagłych potrzeb kraju postanowiono, iż za ten miesiąc urzędnikom i oficjalistom rządowym począwszy od najmniejszej płacy do 25.000 złp. potrącą $^1/_3$, kto zaś pobiera więcej, odtrąci się połowa. Chętnie każdy pomiesie ofiary, ale czyż mogła być przyjęta tak niesprawiedliwa i oburzająca zasada? Wyraźnie miano wzgląd na wyższych urzędników niższych zaś do nędzy się przywiedzie.

Dnia 14 nagle rozeszła się fałszywa wieść jakoby minister sekr. stanu Stefan Grabowski przyjechał z Petersburga. Wnet na rogatkach ulic, przy bramach i pompach ujrzano poprzylepiane pisane ćwiartki z podpisem: kandydat, opiewające: Czytajcie: 1⁰ Grabowski z Petersburga przyjechał do rozpoznania stanu rzeczy. Jest to ten sam, który tak zręcznie przytłumić zdołał powstanie w Petersburgu; 2⁰ Mikołaj ma do nas przyjechać, będzie on nam obiecywał złote góry, nie wierzcie mu, gdyż wtedy będzie biada młodzieży akademickiej i byłym podchorążym. Jednym tylko magnatom nic się nie stanie; 3⁰ Starajmy się młodzi, aby nam powierzona była straż zamku; 4⁰ Nie dozwólmy Mikołajowi mówić pod gołem niebem. Precz z gwarancją moskiewską.

Dnia 15 pułkownik Karol Turno adjutant W. Ks. odprowadziwszy go do Brześcia, wrócił do Warszawy. Kazimierz Trębicki, (brat poległego generała) kapitan grenadjerów gwar. adjutant W. Ks. pozostał przy nim, jakoteż podpułkownik gwardji Ksawery Olędzki, przełożony nad szkołą podchorążych pieszych i porucznik z 4 pułku piechoty, którego nazwiska nie pomnę.

Zbliża się czas rozpoczęcia sejmu, lękamy się nieporozumień, głów zagorzałych, a nawet i takich reprezentantów, którzy wpływem przeszłego rządu obrani zostali. Dodajmy do tego, że Chłopicki jest umysłu drażliwego.

Niewiadomo, gdzie się podział były prezydent miasta Wojda, słychać że udał się do Berlina. Dyktator mianował oficerami całą szkołę podchorążych pieszych i jazdy, jakoteż wielu ze szkoły artylerji. Mamy przeto aż nadto oficerów, zwłaszcza, że wielu dawnych oficerów wraca do służby. W tworzących się zaś pułkach krakusów, ułanów, strzelców itd. każdy chce być oficerem.

Dnia 16 przybył z Petersburga adjutant cesarski pułk. kwatermistrzowstwa jlnego Józef Hauke, brat poległego gen. i przywiózł pismo do prezesa rady admin. wzywające go, aby przywrócił porządek. Był on wyprawiony na pierwsze doniesienie W. Ks. uczynione dnia 30 listopada z Wierzbna. Nie wiedział jeszcze przeto cesarz dokładnie co u nas zaszło.

Dnia 17 w nocy wyprawiony został napowrót Hauke. Dyktator wysłał adjutanta swego porucznika Władysława Zamojskiego do gener. Rozena, dowodzącego korpusem litew. dla powzięcia wiadomości, czy ma rozkaz do przejścia granic Polski.

Prace około obwarowania Pragi i Warszawy spiesznie postępują. Wszystkie biora, cechy z chorągwiami i muzyką ciągną na wały. Mnóstwo kobiet i damy wyższego towarzystwa łączą swe siły, duchowieństwo z przełożonymi klasztoru z wielką gorliwością oddaje się tej pracy. Ogólny odgłos słyszeć się daje, że samo niebo sprawie naszej sprzyja; do dziś dnia mamy pogodę, małe nawet przymrozki ustały.

Dnia 18 obie izby się konstytuowały jako w dniu na sejm przeznaczony. Zaszły tu niejakie nieporozumienia, gdyż deputacja do dyktatora wyprawiona, przyniosła odpowiedź z prośbą, aby otwarcie sejmu odłożono do 21 oczekując jaką odpowiedź przywiezie posłannik od Rozena. Zrazu zgodzono się na odroczenie, lecz nad wieczorem, gdy zaczęli się reprezentanci narodu zjeżdżać do zamku na przedsejmowe narady, postanowiono mimo danego przyrzeczenia konstytuować się. Jakoż o godzinie 6 wezwano do objęcia steru izby najstarszego wiekiem posła Walchnowskiego, poczem jednomyślnością obrano marszałkiem Władysława hr. Ostrowskiego i na rękach zaniesiono go na krzesło. Uznano z wielkim zapałem powstanie za narodu całego sprawę i poczęto zapisywać znaczne pieniężne ofiary. Następnie połączyła się izba z senatem, gdzie z równemże uniesieniem przyjęto rewolucją. Były to niejako przedwstępne działania, gdyż otwarcie sejmu odroczono do 21go. Dyktator uważał ten krok za złamanie danego mu przyrzeczenia i za formalne rozpoczęcie obrad; przeto tejże nocy złożył dyktaturę i tak się uniósł, że nawet zrzekł się dowództwa. W tak przykrych okolicznościach ustanowiono dla czuwania nad wojskiem radę wojenną z generałów złożoną. (Dok. nast.)

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Z TEATRU.

Wypada nam tym razem zdać sprawę z kilku dotychczasowych gościnnych występów p. Bolesława Leszczyńskiego.

Pan Leszczyński rozpoczynał niegdyś swój zawód artystyczny na scenie krakowskiej i pozostawił po sobie jak najchlubniejsze wspomnienie. To też krakowianie powitali teraz sympatycznego artystę jak się wita starych dobrych znajomych, nie szczędząc mu oznak przychylności i sympatji.

Powodzenia jednak, którego miły gość warszawski doznaje u nas, nie można przypisać jedynie temu, co Francuzi *succès d'estime* nazywają, zasługuje on i bezwzględnie na prawdziwe uznanie i poklask jako artysta wcale niepospolitych zdolności i talentu.

Dla pierwszego występu obrał sobie p. Leszczyński rolę hrabiego de Clermont Latour w sztuce Sardou *Odetta.* Jakoż wykwintną i dobrze obmyślaną grą swoją w tej roli potrafił odrazu przekonać widzów, że nieapróżno używał wziętości na pierwszej scenie polskiej, gdyż rzeczywiście jest artystą nietylko niepospolicie zdolnym, lecz posiadającym rutynę w tak wysokim wydoskonaloną stopniu, że gra jego zgoła przestaje być grą, lecz staje się pełną życia i prawdy illustracją myśli autora, uplastycznioną każdą intonacją głosu, każdą zmianą w wyrazie twarzy, każdym nawet ruchem, z których żaden nie jest wypadkowym, lecz właściwie wymotywowanym, choć tego nie widać wcale. Wogóle grę pana Leszczyńskiego w rolach salonowych możnaby porównać do gry dobrego wirtuoza, który tak panuje nad instrumentem, że trudności mechaniczne dlań nie istnieją, tylko wszystkie siły ducha skierowywa ku temu właśnie celowi, aby godnie i wiernie oddać myśl kompozytora.

Mniej daleko podobała się nam gra p. Leszczyńskiego w roli *Otella*, którą obrał sobie na drugi gościnny występ. A mniej nam podobała się nie dlatego, aby zdolny artysta nie zrozumiał należycie tej roli, lub nie miał sił i warunków do jej dobrego wykonania, bo owszem p. Leszczyński jak rzadko kto z najznakomitszych nietylko naszych lecz i zagranicznych artystów, ma inteligencję, warunki i siły, aby być jednym z najlepszych wykonawców tej trudnej roli, lecz że wykonywa ją zanadto à la Rossi i Sarah Bernhard, zanadto wiernie i realistycznie. Ztąd wypływa, że p. L. w takich scenach i miejscach, gdzie ten realizm niczem nieestetycznem nie uderza, będąc tylko ścisłem odwzorowaniem życiowej prawdy, jest Otellem niezaprzeczenie jednym z najlepszych i grą swoją mógłby zrobić wrażenie na najpierwszych scenach europejskich. Ale za to tenże sam realizm w scenach erotycznych, a tych scen, jak wiadomo bardzo wiele jest w roli, czyni grę p. Leszczyńskiego nieestetyczną i trywjalną, w scenach gwałtownych jak morderstwo Desdemony, zamienia człowieka cywilizowanego, jakim Otello przy całej swej gwałtowności afrykańskiej przecież być musiał, w rozjuszonego i wściekłego zwierza, miotającego pianą i wydającego bydlęce jakieś wycia. Scena zaś, gdy Otello własną ręką śmierć sobie zadaje i kona, czyni tak niemiłe i zgoła wstrętne wrażenie owem chrapaniem i konwulsyami agonji, że znużony i przejęty niesmakiem widz długo otrząsnąć się po niem nie może, jak gdyby powracał nie z teatru, lecz ze szpitala lub z placu publicznej egzekucji jakiejś...

Trzeci raz wystąpił p. Leszczyński w roli Mortemera w komedji Sardou *Starzy kawalerowie.* W tej roli uwydatniły się znowu i dodatnie i ujemne strony gry tego artysty. Do pierwszych zaliczamy nadzwyczaj swobodną i naturalną dykcją i pełne elegancji zachowywanie się na scenie. Do ujemnych zaś znowu ten sam realizm w scenach erotycznych. I jeszcze jedną małą wadę zauważyliśmy w grze pana L. w tej roli, mianowicie, że intonacja głosu i nagłe zmiany w jego skali nie zawsze są należycie umotywowane, tak, że widz, nie może czasem zdać sobie sprawy, dlaczego artysta dany frazes wypowiedział szeptem, a inny znów głosem nazbyt podniesionym?..

Zresztą na grę p. L. w tej sztuce wpływać musiała bardzo niewłaściwa obsada w niej ról i dziwnie niedbała reżyserja, w skutek czego cała sztuka szła bardzo niesfornie i źle, a wśród takiego otoczenia najlepszy nawet artysta zniechęcić się i zbić z toru musi.

Zato znów zupełnie korzystnie przedstawił się widzom gość warszawski w roli tytułowej w dramacie Feuileta *Miłość ubogiego młodzieńca.* O grze jego w tej roli powtórzyćby można to wszystko, co o pierwszym występie p. L. Ale prawdziwym tryumfem utalentowanego artysty był piąty jego występ w szekspirowskiej komedji *„Poskromienie Złośnicy.“* Rola Petruchcia, którą p. L. przyjął na siebie, jest stanowczo w dotychczasowym jego repertoarze gościnnym najlepszą. Wykonywa ją p. L. z takim humorem, werwą, naturalnością i z tak iście szekspirowską przymieszką dobrodusznej rubaszności i szarży, że wyobrazić sobie trudno tę rolę wykonaną lepiej, poprawniej, z trafniejszą intuicją w zrozumieniu i oddaniu myśli nieśmiertelnego autora i ducha epoki, w której się rzecz odbywa...

Doskonałą bo też miał Petruchio „złośnicę“ do poskromienia. Rola Katarzyny bowiem, która wykonywa pami Hofmanowa jest niezaprzeczenie jedną z najlepszych jej kreacji, z której najwybredniejsi nawet znawcy i czciciele Szekspira, zupełnie, jak sądzimy, zostaliby zadowoleni.

A i cała obsada tej sztuki i całe jej inscenowanie odznaczały się starannością i dobrem kierownictwem, których to zalet dawał się czuć brak wielki na kilkunastu ostatnich w naszym teatrze przedstawieniach.

A. Z.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— Koło artystyczne literackie w Krakowie wybrało na rok 1883/4 prezesem p. Juljusza Kossaka, wiceprezesem p. Adama Asnyka, sekretarzem Kazimierza Bartoszewicza, podskarbim p. Bronisława Abramowicza. Do komitetu weszli pp. Michał Bałucki, Dr. German, W. Gadomski, M. Gujski, L. Löffler, W. Piwnicki, M. Pawlikowski, X. J. Polkowski, J. N. Sadowski, J. Styka.

— Dnia 13go b. m. odbędzie się nadzw. walne zgromadzenie członków „Koła artystyczno-literackiego“ dla naradzenia się nad zjazdem literatów i artystów w Krakowie w d. 8, 9 i 10 Września.

— Wyszła broszura „Kilka słów o Stańczykach,“ odbitka z „Przyszłości.“ Cenia 30 c.

— „Teka Nieczui“ będąca podobno utworem Z. Kaczkowskiego, cieszy się wielkiem powodzeniem. „Teka“ wymierzoną jest przeciw t. zw. partji Stańczyków. Cena 2 złr. 75 ct.

— Wyszedł nakładem K. Bartoszewicza tom IVty taniego wydania dzieł *Ignacego Krasickiego* i zawiera „Pana Podstolego.“

— Jubileuszowego wydawnictwa *dzieł Kochanowskiego* ma się w tych dniach pojawić tom I. Jak donoszą portret umieszczony przy nim, zdjęty z pomnika w Zwoleniu, zmieniono o tyle, że zamiast rękawiczek dano do ręki Kochanowskiemu książkę. Szkoda, że nie lirę...

— *Album współczesnych malarzy* zapowiada jedna z księgarń wiedeńskich. Pomiędzy wymienionymi mistrzami, których arcydzieła w reprodukcjach drzeworytniczych w tem album będą umieszczone, znajdujemy Matejkę, Siemiradzkiego, Brandta.

† *Cypryan Norwid*, żołnierz, poeta, malarz, rzeźbiarz, umarł dnia 23 maja b. r. w Paryżu w 59 r. życia.

Z dziedziny malarstwa muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— Między artystami wyborowymi, którzy wezwani zostali do udziału w osobnej wystawie międzynarodowej w Paryżu w maju b. r. znajdujemy nazwisko p. Chełmońskiego z dodatkiem „z Rosjji.“ Czy to ironja, czy swawola?

— O obrazie p. *Jana Styki*: „Erminia jako pasterka wycinająca imię Tankreda na drzewie oliwnym“ (Tasso Jeroz. wyzwol.) wyraża się krytyka wiedeńska, że postać Erminji „poetycznie pomyślana i pięknie wyrysowana ale mniej szczęśliwą jest draperja, fałdy jej przecinają piękną figurę.“

— W ostatnim numerze „L'Art“ francuskiej illustracji znajdujemy rycinę Mariusa Roy'a odtworzoną w znakomitym miedziorycie Feliksa Jasińskiego, młodego i pełnego nadziei rytownika polskiego. Jasiński, ile nam wiadomo, kończył szkoły w Krakowie.

— Nowy obraz *F. Żmurki* „Śmierć Messaliny“ wystawiono w Warszawie w sali resursy obywatelskiej.

— *Artyści warszawscy* zamierzają wydawać zeszytami rysunki humorystyczne z podpisami objaśniającemi.

Do tego Nru miał być dołączony portret Najprzew. ks. arcybiskupa Zygmunta Szczęsnego Felińskiego i dlatego Nr. o cztery dni się opóźnił. W ostatniej jednak chwili portret całkiem źle został odbity, ztąd go nie dołączamy, a brak rysunku w jednym z przyszłych Nrów Szanownym Prenumeratorom wynagrodzimy.